



Prezentacja nauki to sztuka
ISBN 978-83-969444-2-9, Antologie AVANT
<https://doi.org/10.26913/ava2202305>



Debata zespołu projektowego: doświadczenia, wyzwania, efekty działań

Warsztaty Kultury, Lublin, 27 października 2023 r.

Pierwsza publikacja zapisu debaty: 30-11-2023.

Debata została zorganizowana z potrzeby wypowiedzenia i zebrania doświadczeń, jakie towarzyszyły nam trakcie realizacji projektu „Prezentacja nauki to sztuka”. Projekt trwał dwa lata, podczas których spotykaliśmy się głównie w podgrupach zajmujących się poszczególnymi działaniami popularyzacyjnymi. Z kolei po ich przeprowadzeniu czekały nas jeszcze dwa formalne podsumowania, w postaci niniejszej publikacji oraz konferencji¹. Chcieliśmy jednak stworzyć okazję do opowiedzenia o naszych własnych wrażeniach, trudnościach i wyzwaniach, zwłaszcza, że projekt okazał się dość skomplikowany w realizacji. Zapis tego spotkania umieszczamy poniżej, licząc na to, że zebrane w ten sposób spostrzeżenia będą stanowiły ciekawe i wartościowe uzupełnienie bardziej usystematyzowanego zbioru tekstów w tym tomie.

W spotkaniu udział wzięły osoby zaangażowane w organizację projektu na miejscu, w Lublinie (dr hab. Agnieszka Kolasa-Nowak oraz dr Aleksandra Kołtun – UMCS; Joanna Wawiórka-Kamieniecka i Marzena Bielecka – Warsztaty Kultury), oraz część osób z grona ekspertów i ekspertek w projekcie (dr Andrzej Stawicki, dr hab. Marcin Trybulec, dr Witold Wachowski – UMCS; dr Maciej Frąckowiak – UAM).

Aleksandra Kołtun: Drodzy Państwo, spotkaliśmy się dzisiaj, aby dokonać pewnego podsumowania całości projektu. Chciałabym, żebyśmy porozmawiali i o jego wadach, o frustracjach czy niepewności, jakie nam towarzyszyły, jak i o tym, co dobrego z niego dla nas wynikało. Zaczniemy może od tych pozytywnych rzeczy. Czy w czasie realizacji projektu spotkało Państwo cokolwiek ekscytującego, wciągającego, coś, co was zaskoczyło? Pozwolę sobie przekazać pałeczkę osobie, która w związku z Nocą Kultury czuje najwięcej ekscytacji, ale również zmęczenia.

¹ Nagrania wystąpień z konferencji są dostępne na stronie internetowej projektu:
<https://www.umcs.pl/pl/prezentacja-nauki-to-sztuka.htm>

Joanna Wawiórka-Kamieniecka: Tym, co było dla mnie najbardziej ekscytujące, to chyba coś, co towarzyszy nam od początku współpracy. Znamy się już długo i od początku mamy gotowość na zmiany, która pojawia się w momencie, kiedy stwierdzamy, że coś z jakiegoś powodu nas uwiera albo nie pasuje. Tak właściwie nie ustaliliśmy tego na żadnym początkowym spotkaniu – że w taki sposób będziemy działać. Natomiast, w niepisany, nieumówiony sposób wyszło nam to naturalnie. I to mi się niezwykle podoba. Nie mam doświadczenia w projektach naukowych i popularyzatorskich, ale w wielu projektach, przy których pracuję, jest taki rodzaj napinki związanej z pierwotnym wnioskiem grantowym. I ta napinka niejednokrotnie niszczy wszystko to, co jest po drodze, ponieważ w głowie jest tylko „wskaźnik”, „wskaźnik”! To mi się bardzo podobało – taka gotowość na testowanie rozwiązań, na "pomaganie", i wycofanie się. Nie chciałabym użyć określenia, że byliśmy gotowi na porażki, ale byliśmy gotowi na dochodzenie do ślepych uliczek, wycofywanie się i szukanie nowej drogi bez żadnego poczucia, że zmarnowaliśmy czas. Pojawił się ten aspekt wspólnego uczenia się i spokoju. W związku z tym bardzo mi się podobało również dołączenie studentów na tych samych zasadach. No, nie tak jak my – od początku, ale jednocześnie nie było to angażowanie studentów tylko do czarnej roboty. Oni mogli coś wykoncypować, wydyskutować, i też mogli się wahać. Mogli szyc tygrysa, któremu coś odpadnie. I tak się uczyli. I to wydaje mi się najcenniejsze we wszystkich projektach popularyzatorskich. Studenci, z którymi pracowaliśmy, byli naszą pierwszą publicznością i pierwszymi odbiorcami. Być może za 10 lat nie będą pamiętać tekstów w „Avancie”, natomiast będą pamiętać to, że mogli podzielać na tym poligonie, w sympatycznej atmosferze. To są moje ekscytacje.

Aleksandra Kołtun: Wątek studentów pojawił się przede wszystkim przy śmietnikach, więc przekazuję głos Witkowi.

Witold Wachowski: Bardzo dziękuję. Moja odpowiedź, czy też w ogóle moja osoba może tu wypaść kontrastowo. Ja akurat, poza paroma osobami uczelni, nikogo tu nie znałem. Nie jestem z Lublina, więc dołączyłam do was jako obserwator, który nieopatrznie rzucił hasło „afordancje” podczas spotkania...

Joanna Wawiórka-Kamieniecka: ...a potem poszło! (śmiech)

Witold Wachowski: Tak, zrobiło się z tego całe działanie. I to, co powiedziałaś o studentach – to było naprawdę fajne. To akurat przewidziałem, wprawdzie nie wiedząc, kto tak naprawdę będzie te obiekty robił. Był taki moment frustracji, gdy zorientowałem się, że my nie tylko odpowiadamy za konceptualizację, ale jeszcze mamy to zrobić. Ja tu nie mieszkam, to jak to będzie? Ale okazało się, że wyszło. Zawahałaś się, że nie byliśmy nastawieni na porażki, ale ja bym powiedział, że byliśmy nastawieni na zwalczanie porażek, na usuwanie przeszkód. Gdy rozpoczął się etap przelewania naszych koncepcji do rzeczywistości, okazało się, że wkład konceptualny studentów był duży. To nie było tak, że

powiedzieliśmy, co należy zrobić, czy że już mieliśmy w głowie tygrysa. Tygrys, z tego, co wiem, pojawił się w momencie, gdy zobaczyliśmy tę tkaninę, to futro.

Joanna Wawiórka-Kamieniecka: Tkanina po prostu zainspirowała...

Witold Wachowski: Może na wszelki wypadek dodam, że to była sztuczna skóra, że żadnego zwierzaka nie zabito. Studenci sami mierzyli się z afordancjami obiektu, z oporem materii. Patrzę na to od strony poznawczej; sam byłem przy części praktycznej tylko raz. A później było tak, jak się spodziewałem, a nawet i lepiej. Kiedy chodziłem po Nocy Kultury, po tym mieście „nocokulturowym”, jak mówicie, widziałem zarówno to, co się dzieje przy śmietnikach „afordujących”, jak i przy tych najzwyczajniejszych, które były na wszelki wypadek otwierane, bo być może tam też coś wyskoczy. Wtedy wiedziałem, że to się rozlało w dobry sposób.

Marcin Trybulec: Rzeczywiście, najbardziej ekscytujący był etap końcowy, kiedy było widać, jak ludzie używają tych obiektów. Śmietniki są tu świetnym przykładem, ale Komoda Flecka też była dla mnie zaskakująca. Mam na myśli, że najwięcej przyjemności sprawiło mi to, czego nie przewidzieliśmy. Na przykład to, że jak na Komodzie nie będą miniatury dalmatyńczyka, tylko mikroskop, to wszyscy będą chcieli zobaczyć coś przez okular. O tym akurat możemy mówić w kategoriach porażki, ale to jest taka porażka, która daje dużo do myślenia, i dlatego to jest taka dobra porażka. Ja to traktuję, z jednej strony, tak, że rzeczywiście, nie o to nam chodziło: ludzie często byli sfrustrowani, bo patrzą i patrzą, a nie widzą. Inni ich odsuwają i mówią „może daj, ja coś zobaczę” Próbują coś tam regulować, a tu w ogóle nic nie ma...

Joanna Wawiórka-Kamieniecka: ...a tu trzeba było szuflady otworzyć...

Marcin Trybulec: ...więc właśnie! Dlatego odchodzą. I jeśli mówimy o afordancjach, to śmietniki były wyraźne, a szuflady – już nie. Dla mnie to właśnie było pouczające – żeby zobaczyć, co faktycznie dzieje się w zderzeniu naszej wizji z rzeczywistością. To jest jedna rzecz. A druga rzecz to efekty współpracy na etapie konceptualizacji – to było bardzo przyjemne. Takim najważniejszym działaniem, które zostało mi w pamięci, było prototypizowanie, tutaj, w Warsztatach. I to właśnie – nie wyszło, bo musieliśmy zmienić koncepcję, ale to naprawdę było fajne doświadczenie, bo dało nam najwięcej informacji. Takie zderzenie z rzeczywistością. To pokazało, jak strasznie jesteśmy w uniwersytecie oddzieleni od świata, od życia.. Dla mnie osobiście to był mały szok. Doceńm to doświadczenie; było to bardzo przyjemne, takie ożywcze.

Joanna Wawiórka-Kamieniecka: Uczestniczyłam w tworzeniu tego pierwotnego modelu, i też ugrzęzłam w tym, że wszystko było dla mnie oczywiste, i wszystko wiedziałam. A potem patrzyłam na moich kolegów z pracy, którzy wchodzili w zaprojektowaną przez nas przestrzeń, idą nie tam, gdzie trzeba, widzą nie to, co założyliśmy. Podnoszą kartki, których nie trzeba podnosić, a tych, co są na środku z informacją i strzałką, nie widzą. Dzwonią łyżkami,

zamiast przyglądać się obrazowi. A to przecież wykształceni, serdeczni i obcy ludzie, którzy przyszli nam pomóc. W momencie, kiedy na Nocy Kultury będą po prostu przechodnie, to będzie dramat. Także prototypowanie i dotykanie materii dla mnie też było niezwykle. Ja też wpadłam w tę pułapkę – o Flecku rozmawialiśmy wielokrotnie. W tym procesie najpierw staraliśmy się nawkładać smaczków, po prostu po kokardy, a może temu odbiorcy jeszcze ciasteczko z wróżbą, a może tamto podwórze w całości zagospodarować na afordancje. To było jakieś szaleństwo, a skończyło się na bardzo monochromatycznej pracy, do której i tak mamy dalej uwagi, bo było jeszcze to drugie starcie z rzeczywistością. No, wspaniałe to było.

Agnieszka Kolasa-Nowak: Dla mnie ciekawym doświadczeniem był sam proces, w którym zupełnie zmienił się nasz pierwotny, akademicki punkt wyjścia. Mieliśmy pewien sposób myślenia, który zakładał, zresztą, jak to często z akademickiego punktu widzenia, że za bardzo się nie angażujemy. Na zasadzie, że my możemy wyznaczyć główne cele, kierunki, a „ludność” niech to złapie i przejmie, te nasze idee. (śmiech) I tu jest to doświadczenie – że tak się nie dzieje po prostu. Że właściwie jest to rodzaj interakcji, rodzaj praktyk społecznych, w których musimy się do siebie dopasować, będąc w bardzo różnych rolach. I to jest, moim zdaniem, najfajniejsza rzecz. Czy będzie się w tym wszystkim studentem, czy będzie się człowiekiem, który dostarcza koncepcji – wszystko jedno, wszyscy to robią. Hierarchiczność, która jest właściwa akademii, trochę się tu rozpuściła, z dużą korzyścią.

Marzena Bielecka: Ja współpracowałam najwięcej ze studentami, przy tworzeniu śmietników. Wydaje mi się, że tutaj taka akademicka strefa komfortu została przełamana. Studenci, którzy mieli okazję brać udział w projekcie, faktycznie mogli wyjść poza ramy akademickiego myślenia, wznieść się na wyżyny jakiejś kreacji, twórczego myślenia o tym, jak stworzyć obiekty, które będą atrakcyjne i czytelne dla publiczności. Niby na początku mieliśmy te obiekty wymyślone, ale później one podlegały kolejnym modyfikacjom. Bo to nie wyszło, to się nie sprawdza, to nie wygląda. Trzeba było cały czas myśleć, w jakiś sposób je podrasować. Myślę, że dla studentów to też było takie fajne przełamanie.

Joanna Wawiórka-Kamieniecka: Ja tylko dodam jedną rzecz. Pracujemy z całą masą studentów z różnych kierunków, z różnych uczelni, i często obserwujemy niechęć do angażowania się w rzeczy, które nie wynikają wprost z kierunku studiów. Wygląda to tak, że jeżeli ja zaprojektuję i wymyślę, to gdzie ty mi ten klej tutaj dajesz, i ten śmietnik, no chyba będą to sklejać jakieś osoby od przyklejania tkaniny do śmietnika, jak to – nie macie takich? Natomiast okazuje się, że wśród studentów, z którymi pracowaliśmy, w ogóle nie było takiego myślenia. Oni bardzo chętnie zakasali rękawy, wzięli do ręki kleje, igły, i po prostu to robili. Dla mnie to było bardzo sympatyczne, bo mam doświadczenie ze studentami, którzy projektują, i na hasło, że mają coś współtworzyć czy prototypować,

to prawie że znak krzyża robią, że pani chyba sobie z nas żartuje, od tego są inni ludzie.

Andrzej Stawicki: Dla mnie najciekawsze było to, że zajmowaliśmy się naukowymi rzeczami inaczej, i w zupełnie innym miejscu niż zwykle. I dla nas, tutaj, to było bardzo ciekawe, ale widziałem też studentów, którzy realizowali badania. To, jak się organizowali, jak się komunikowali, to była zupełnie inna energia niż ta, którą widzimy na zajęciach, gdzie często trzeba ich niemal zmuszać, żeby się angażowali. A druga rzecz to wysiłek, który musieliśmy włożyć w to, żeby zacząć myśleć inaczej o tym, co robimy na co dzień, o tych naszych abstrakcyjnych, zawiłych, naukowych rzeczach, żeby komunikować je w sposób zrozumiały ludziom. Ten projekt był takim ćwiczeniem wymuszającym ułożenie sobie samemu w głowie – co w tym wszystkim jest najważniejsze i najciekawsze? Chcieliśmy przecież pokazać wszystko z jak najatrakcyjniejszej, najciekawszej strony, więc sami sobie uświadamialiśmy, co naprawdę chcemy powiedzieć.

Maciej Frąckowiak: Ja może w trochę innym tonie. Dla mnie najbardziej inspirująca była nie myśl o popularyzacji, ale o współpracy z artystami. Mnie w ogóle najbardziej ekscytuje, kiedy spotykam się właśnie z twórcami, którym jednocześnie dają prawo do interpretowania tego, co nam wychodzi z badań. I koniec końców, trochę mi ich brakowało. Wiem, że była Joanna, ale na naszych spotkaniach brakowało mi samych artystów i artystek. Myśmy rozmawiali raczej o tym, jak upowszechnić naukę. Może gdyby wtedy byli z nami artyści i artystki, przełamany zostałby taki dydaktyczny ton, o którym mówiła pani profesor (Agnieszka Kolasa-Nowak – przyp. red.). Wtedy nie mielibyśmy tego podziału mówiącego, jaka jest wiedza naukowa i kto ją spopularyzuje, tylko więcej negocjacji: czym ta wiedza jest? do czego może się przydać? To pewnie warto byłoby poprawić.

Natomiast to, że w tak dużym gronie ciągle pojawiały rozbieżności i nieustanne próby definiowania, w czym w zasadzie uczestniczymy, to nie wydaje mi się słabością projektu, tylko raczej konsekwencją jego otwartej formuły. Choć część osób pewnie przyjmowała to jako pewien rodzaj poznawczego obciążenia, zwłaszcza jeśli chciał wejść w coś, co ma swój początek i koniec oraz proces, który jest wyobrażalny. Ale może to też mówi właśnie o tym, dlaczego popularyzacja zwykle się nie udaje, jeżeli myślimy o procesach, w których bierzemy udział, w taki bardzo szufladkowy sposób.

Ten projekt przekonał mnie do tego, że jeżeli my chcemy jakkolwiek popchnąć do przodu refleksję o popularyzacji wiedzy, to nie może być takie przejmowanie pałeczki: to znaczy, że naukowiec coś dostarczy, a potem szukamy kogoś, kto zrealizuje ten zamysł. Taka współpraca musi być bardziej intensywna na wcześniejszych etapach. Inaczej to może się nie udać. I jeszcze coś, co wydaje mi się pewną słabością. Wydaje mi się, że mogliśmy pokazywać sobie nawza-

jem więcej przykładów popularyzacji z udziałem artystów, artystek, czy animatorów, animatorek kultury. Refleksja nad wytwarzaniem i pokazywaniem, czy dzieleniem się wiedzą w sposób angażujący jest daleko bardziej posunięta niż to wynikało z dyskusji, które często na ten temat toczyliśmy.

W związku z tym odpowiem jeszcze, co się udało. Wydaje mi się, że największym sukcesem jest to, że w ogóle się udało. (śmiej) To, że te plany, o których mówiliśmy, i które wydawały się trudne do realizacji, po prostu ziściły się. Mówiąc szczerze, sam chyba byłem zaskoczony, że i te kosze z afordancjami się udały, i że udały się te performance na schodach. To jest z pewnością sukces.

Aleksandra Kołtun: Może Państwo jeszcze skomentujecie, co was zainspirowało, czy może macie poczucie, że czegoś się nauczyliście? Do irytacji jeszcze przejdziemy (śmiej).

Agnieszka Kolasa-Nowak: Mnie to nauczyło bardzo wyraźnie i mocno, że popularyzowanie wiedzy społecznej czy humanistycznej jest niezwykle trudne. To, co chcieliśmy zrobić, w porównaniu do wiedzy takiej atrakcyjnej, z dziedzin ścisłych, technicznych, jest bardzo trudne. W naszym przypadku każdy człowiek ma głębokie przekonania na temat wielu zjawisk społecznych, poznawczych, na temat siebie samego. Co więcej, zwykle nie tylko ma jakieś przekonania, ale również poszukuje różnego rodzaju wiedzy. A najczęściej poszukuje się wiedzy, którą potwierdza własne przekonania. W tym projekcie mieliśmy następujące główne zadanie – powiedzieć, że poza tą oczywistą oczywistością, poza tą zdroworozsądkową wiedzą każdego, jest też ciekawa wiedza, która może być sprzeczna, albo po prostu trudna do zaakceptowania. Niekoniecznie przyjemna i afirmatywna wobec naszych przekonań. To jest chyba zawsze ogromne zadanie. I wreszcie, chyba zawsze przy popularyzacji wiedzy społecznej czy humanistycznej pojawia się kwestia ideologii. Myśmy strasznie tego unikali, i bardzo dobrze. Ale warto o tym pamiętać, że w momencie, kiedy mówi się o popularyzowaniu wiedzy z tych dziedzin, trzeba być bardzo świadomym i wrażliwym, że właściwie większość działań o charakterze propagandy ma charakter popularyzowania pewnej interpretacji rzeczywistości społecznej.

Marzena Bielecka: Mnie, jako edukatorowi i animatorowi, szalenie spodobała się możliwość przekazywania wiedzy w taki lekki, przystępny sposób. Oczywiście, jest to obarczone różnymi trudnościami, o których teraz rozmawiamy. My poprzez sztukę czy kulturę staramy się przekazywać taką dosyć lekką wiedzę; to ma być łatwe, przyjemne, nie zmęczyć publiczności. Natomiast ten projekt pokazuje, że można wiedzę "z tej górnej półki" również pokazać w atrakcyjny sposób.

Aleksandra Kołtun: Dla mnie i lekcja, i trudność, i cała ekscytacja polegała na tym, że ciągle poszukiwaliśmy równowagi między tym, jak zrobić nasze działania dla szerokiej publiczności w zgodzie ze swoją orientacją poznawczo-filozoficzną, a jednocześnie nie podkopać zaufania do nauki, nie sprawić, że nauka

wyda się po prostu zabawą albo zupełną ściemą. Wszyscy tutaj jesteśmy w gruncie rzeczy filozofami nauki, socjologami nauki, metodologami, badaczami. Jeśli porzucamy myślenie o nauce w kategoriach "nagich", obiektywnych faktów, które wymagają jedynie odpowiedniego przedstawienia, to pojawia się problem tego, jak jednocześnie nie sprowokować myślenia, że w nauce wszystko ujdzie, byle byś miał dobre argumenty. Na przykład, rozważając myśl Flecka, musieliśmy tak zaprojektować nasze działania, żeby nie wywołać poczucia, że skoro "żeby widzieć, trzeba wiedzieć", no to hulaj dusza piekła nie ma – możemy mówić o wszystkim i twierdzić, że to jest naukowe. I wreszcie, dla mnie najbardziej interesującą, i jednocześnie najtrudniejszą częścią projektu była ta, w której odkryłam, że jednak po prostu trzeba mieć te 20 zdań prostego przekazu. Że nie da się pracować w projekcie tak po Latourowsku – translacjami, splątaniem, treścią i formą jednocześnie. To zresztą znajomy projektant wymusił na nas, żebyśmy w końcu zdecydowali się, o co nam chodzi i dobili do zestawu prostych informacji zanim zaczniemy myśleć o tym, w jaki sposób zamierzamy je przekazać. Że z punktu widzenia projektu od tego trzeba zacząć – od tego, co chcemy powiedzieć.

Maciej Frąckowiak: Właśnie z taką intencją myślałem o osobach, które tworzą sztukę publiczną, zwłaszcza z krytycznym zamysłem. Takie osoby są bardzo doświadczone w przekładaniu trudnych rzeczy na taki język przystępny dla odbiorców. Gdy zastanowimy się nad osobami, które tworzą w przestrzeni publicznej, to przecież one bardzo często poprzez swoje prace mówią o skomplikowanych rzeczach: posthumanistycznych koncepcjach, o nierównościach, mówią o neokolonializmie. W tym sensie to wcale nie jest tak, że wiedza, która nam się wydaje humanistyczna, nie bywa przekładana. Bywa, tylko w innym miejscu. Tego właśnie komponentu zabrakło. Dlatego ja nie do końca zgadzam się z tym, co powiedziała pani profesor (Agnieszka Kolasa-Nowak – przyp. red.). Dla mnie specyfika wiedzy humanistycznej, społecznej tym różni się od biologicznej, że to jest jednak wiedza otwarta na dialog. I my często chcemy tylko powiedzieć, jak coś widzimy, jak my to interpretujemy, jak my uważamy. A wy zastanówcie się, czy macie podobnie, czy coś innego byście tutaj zrobili, żeby to lepiej do siebie odnieść? Myślę, że z konieczności wiedza humanistyczna i społeczna nie jest pokazywana. Ona raczej zaprasza do uczestnictwa. Ten proces jest jednak bardziej skomplikowany niż to opowiadasz (Aleksandra Kołtun – przyp. red.). To nie jest tak, że, dobra, tutaj jest ta treść, a ty to zilustruj. I chyba ten rodzaj współpracy, o której mówimy, czy może sama popularyzacja, sprawia, że wszystkie osoby czują się dosyć niekomfortowo. Nagle socjolożki muszą mówić do innych audytoriów i się zastanawiać, jak to w ogóle zrobić. Osoby, które mają to przełożyć na działania miejskie też nie dostają konkretnego briefu, bo my nie chcemy tej wiedzy komuś do głowy "zakuć", tylko jakoś się nią dzielić.

Joanna Wawiórka-Kamieniecka: Świetna jest ta uwaga o współpracy badaczy, naukowców, akademików z artystami. Artyści sztuki współczesnej przekazują w przestrzeni publicznej pewne trudne pojęcia, ale założenie, że oni są właściwie rozumiani, zgodnie z intencjami – moim zdaniem tak nie jest. Stąd wynikają te wszystkie protesty pod Zachętą. "Ja też bym tak potrafił". "A co to jest takie duże? Leży na środku". Myślę, że oni są dokładnie w takiej sytuacji jak my, czyli oni ten moment konceptualizacji mają odrobiony na szóstkę z plusem, i tak samo jak my mierzą się z publicznością. I nawet nie prototypują. Natomiast to jest świetne apropos przeszłości.

Co moglibyśmy dalej robić? Wydaje mi się, że konieczne jest testowanie i nieustające dopraszanie jakiejś publiczności, czy stawianie tego gdzieś i patrzanie, co z tym się dalej dzieje.

Chciałam też przypomnieć, że publiczność Nocy Kultury nie jest publicznością z łapanek, o czym wiemy. To jest mądra, obyta, wykształcona publiczność. I tak mamy troszeczkę łatwiej, ponieważ nie stawialiśmy prac, nie obrażając nikogo, w sobotę w supermarkecie na szybkich zakupach. Ludzie przychodzili do nas po tę wiedzę, po wrażenia, po doświadczenia. Oni wiedzieli, że my dla nich coś przygotowujemy.

Aleksandra Kołtun: Artyści jak najbardziej. Natomiast to jest właśnie ten punkt, w którym chciałabym powiedzieć, co mnie najbardziej ekscytowało w tym projekcie: to, że państwo w nim dotrwaliście. (śmiech) Część osób, które zaprosiliśmy pierwotnie do projektu, po prostu wykruszyła się. Zdaję sobie w pełni sprawę z wad tego projektu, do których zaraz mam nadzieję, że przejdziemy. Z tego, że jego struktura była głęboko niejasna, chaotyczna. Natomiast myśmy nie mieli żadnych pośredników między Nocą Kultury a nauką. Ja mam poczucie, że sami siebie wrzuciliśmy na głęboką wodę. Że to było trochę chodzenie po omacku, że to były ciągle zaskoczenia i ślepe uliczki. Obecność artystów dużo by zmieniła na etapie konceptualizacji naszych działań. Ale jednocześnie, tak naprawdę zdjęłaby z nas takie poczucie, że ostateczny efekt zależy wyłącznie do naszej pracy, jest wyłącznie efektem naszego wysiłku. Taka współpraca byłaby ułatwieniem w takim sensie, że mi na przykład zabrakło takiej osoby, która by mi technicznie powiedziała: "Słuchaj, to będzie wyglądało lepiej". Trochę robiły to Joanna (Wawiórka-Kamieniecka – przyp. red.) i Marzena (Bielecka – przyp. red.), ale i tak wiele rzeczy było bardzo wymaganych. Ale ja niekoniecznie jestem po tej stronie, dlatego, że ten projekt nie został napisany po to, żeby dostarczyć publiczności Nocy Kultury trzy kolejne instalacje pośród trzystu innych, które i tak będą w programie. Ten projekt został napisany dla nas jako dla zespołu, który był ciekawy, co może się wydarzyć, kiedy weźmiemy wyniki badań i spróbujemy je przekazać szerokiemu gronu ludzi, którzy zresztą w tych badaniach wcześniej uczestniczyli. Żeby wspólnie, z udziałem zaproszonych ekspertów i ekspertek, przeżyć tę przygodę, a potem jeszcze o tym opowiedzieć, zapisać te doświadczenia.

I jeszcze ostatnia uwaga. W tym granie absolutnie nie było miejsca na to, żeby kogoś jeszcze zatrudnić. Przecież wy pracowaliście praktycznie za nic, bo tak naprawdę wynagrodzenie związane z napisaniem tekstu jest kompletnie niewspółmierne do nakładu pracy, jaki ponieśliście przez dwa lata. Po pierwszej recenzji wniosku grantowego musiałyśmy z panią profesor (Agnieszka Kolasą-Nowak – przyp. red.) obciąć jeszcze te wynagrodzenia, bo usłyszałyśmy, że one stanowią za dużą część kosztów. Nie było tu zrozumienia, że w naszych dyscyplinach liczy się przede wszystkim praca ludzi – praca umysłowa, intelektualna. Jak do tego ma się możliwość zaproszenia artystów, którym nie moglibyśmy zapłacić? Oni byłiby w projekcie jako wolontariusze. Pomijając kwestie etyczne, zarządzanie pracą, za którą się nie płaci, jest po prostu dużo trudniejsze niż zarządzanie pracą, za którą się płaci.

Agnieszka Kolasz-Nowak: Jedno słowo bardzo mi się spodobało i uporządkowało bardzo dużo. Że właściwie nasza rola, kiedy dotyczy popularyzacji tych dziedzin społecznych, humanistycznych, to jest taka rola artysty. Czyli kogoś, kto coś sobie wymyśla, coś tworzy, a jak to zostanie zrozumiane, jak będzie odebrane? Trudno, żebyśmy spodziewali się, że to będzie taki prosty przekaz. Znowu tu siedzimy sobie jako akademicy, wracamy w swój kokon. A ci ludzie, tam za oknem, może mieli trochę przyjemności, może robili sobie żarty, i nic nie zostało...?

Marzena Bielecka: Ja chciałam trochę obronić tę współpracę pomiędzy naukowcami a artystami. Jak wyobraziłam sobie udział w artystów w tych działaniach, to nie na zasadzie, że artysta przychodzi na tego typu spotkanie, dostaje zlecenie od was jako naukowców: że my mamy taką ideę i teraz ty to ubierz tak, żeby ludzie zrozumieli, i jeszcze żeby się podobało. Raczej myślałam o tym jako o takim zderzeniu światów, bo z tego zawsze wychodzą ciekawe rzeczy. Tu są zupełnie różne punkty widzenia, różny poziom estetyki i w ogóle podejścia do prezentowania rzeczy. Myślałam o takim postawieniu siebie nawzajem na równi, żeby artysta mógł też przedstawić swój punkt widzenia. Gdyby nie udział Joanny (Wawiórki-Kamienieckiej), która jest tą duszą artystyczną, twórczą i animacyjną w waszych spotkaniach, projekt poszedłby pewnie w zupełnie innym kierunku.

Agnieszka Kolasz-Nowak: Może jeszcze, jeśli mówimy o pieniądzach, to wyobraźmy sobie, że mamy pewne zadanie związane z popularyzacją. I ktoś daje na to grube miliony, na przykład Omega na temat mechaniki precyzyjnej, albo Orlen. I tu pojawia się taki moment: jeżeli nam zapłaci Orlen, to będzie chciał, żebyśmy przekazywali pewien rodzaj wiedzy, żebyśmy sformułowali konkretny przekaz. I dlatego ja bym to nazwała takim aktywizmem akademickim: mamy tu element niezależności, ale w związku z tym – biedy. (śmiejch). Nie da się popularyzować wiedzy społecznej, która nie będzie żadnego rodzaju ukrytą manipulacją, bez takiego aktywistycznego podejścia.

Witold Wachowski: A śmietniki?

Joanna Wawiórka-Kamieniecka: Nie, myśmy dostali te śmietniki od Kom-Eko, z którymi jesteście od lat partnerami. Na hasło, że ich śmietniki będą użyte do instalacji, najpierw szef zapytał, co ja gadam, a potem po prostu przewieźli nam cztery ładne, nowe śmietniki. My w budżecie mieliśmy na takie rzeczy pieniądze, ale ich by wystarczyło na dokładnie jedną trzecią potrzeb, jakie mieliśmy. A my jesteśmy świetne w organizowaniu takich rzeczy. Komoda Flecka to była stara komoda mojej córki, która stała u nas na klatce. Futro z tygrysa zostało po Nocy Kultury chyba z 2017 roku. I wiele rzeczy udało się nam zrobić.

Natomiast ja na koniec mam jeszcze dwa smaczki, którymi bardzo chciałabym się podzielić. Pierwsza dotyczy Komody Flecka, którą miałam przyjemność widzieć o czwartej nad ranem. Przypominam, że stała ona przed knajpą, w wąskim, zacienionym zaułku, czyli w miejscu, które właściwie uprawnia do wszystkiego. Nie ma już ochrony, nie ma odpowiedzialności. Ku mojemu zaskoczeniu, i to jest naprawdę przyjemne wspomnienie, cała Komoda Flecka była zastawiona niedopitymi plastikowymi kubkami po piwie, natomiast żaden nie był wylany, żaden nie stał na tabliczce z informacjami. Żaden nie stał na mikroskopie. Po prostu ktoś odłożył je w najbardziej cywilizowany sposób, jaki potrafił. A nie było tam śmietnika, więc nie mógł tego wyrzucić.

A druga sytuacja miała miejsce około drugiej [w nocy], kiedy mijaliśmy miejsce z "afordancyjnymi" śmietnikami. Nagle kątem oka widzę, że nasz tygrys jest używany, że tak powiem, mocno frywolnie, przez młodego człowieka ku uciesze jego kompanów, którzy w kręgu go dopingują. Ja stwierdziłam trzeba ratować to zwierzę, więc poszliśmy do tych młodych mężczyzn. Jaki argument do nich przemówił? Bo ja nie poszłam do nich z awanturą, tylko mówię: "Cześć, panowie, no co wy? Weźcie, dajcie spokój. Studenci dwa tygodnie to lepili i szyli. Mieście litość, ktoś się nad tym napracował." Chłopak zmieszany odłożył tygrysa i mówi: "Nie, no to sorry, to już odstawiamy. Myśleliśmy, że można." Ot, afordancje (śmiech).

Aleksandra Kołtun: Na koniec jednak jeszcze ważny temat. Co was irytowało, co wkurzało? Wydaje mi się, że cały ten projekt można określić jako niekomfortowy.

Joanna Wawiórka-Kamieniecka: Serio?!

Aleksandra Kołtun: Tak, bo jednak ty, Joanno, jesteś przyzwyczajona do zarządzania chaosem. Mogę zacząć od siebie. Dla mnie ten projekt był niekomfortowy, bo ja czułam, że wszyscy wokoło mają duże wątpliwości co do tego, o co w ogóle chodzi. Niektórzy to zgłaszali wprost, niektórzy nie. Po drugie, przedłużały się nam niektóre spotkania. Teraz już wiem, że to wszystko prowadziło do określonego efektu. Natomiast w trakcie, kiedy mamy szóste spotkanie dotyczące tego, co chcemy powiedzieć o Flecku, to dla mnie to było męczące, i nużące. I wiem, że przynajmniej dla części z państwa też. Więc dla mnie to, co

miało być najmocniejszą stroną tego projektu – uczenie się w działaniu, definiowanie rzeczy w procesie – dla mnie to było obciążające. W sensie, ja sama dobrze się w tym czuję, ale ja byłam na Nocy Kultury, trzy lata siedziałam też od drugiej strony, jako organizatorka. Dla mnie to wszystko było przygodą, ale zarządzanie tą niepewnością – już niekoniecznie.

Agnieszka Kolasa-Nowak: Tu jest jeszcze coś innego. Być może pani tego nie dostrzega. Tu jest cała filozofia pracy, która jest często w prostej sprzeczności z zasadami, jakimi pracujemy na akademii. To, że to jest praca zespołowa, często anonimowa, nie dająca, mówiąc brutalnie, od razu materiału pod artykuł. Dlatego mówię o tym aktywizmie akademickim, prawda? To jest praca w takiej formule, którą pani Joanna, na przykład, doskonale rozumie. Natomiast praca w akademii, zwłaszcza w ostatnich latach, czego innego od nas wymaga. Możemy pracować zespołowo, pod warunkiem, że mamy z tego konkret: że to jest badanie, że potem jest z tego coś, co można przeliczyć na nasze zyski.

Marcin Trybulec: Zgadzam się z tym. Tu jest napięcie; są różne kultury organizacyjne. Od niedawna funkcjonujemy w takim trybie rozliczeniowym. Natomiast ja nie miałem z tym problemu, że nie wiem, co chcę przekazać w związku z działaniem na temat Ludwika Flecka. Cały czas wiedziałem, że celem jest metaforyczne ujęcie tezy o uteoretyzowaniu obserwacji, albo "żeby wiedzieć, trzeba wiedzieć"; dla mnie to było jasne. Natomiast miałem problem z formą przekazu. Długo nie miałem się o co zaczepić, bo my problem formy przekazu przekładaliśmy na później... A ja potrzebowałem jakiegoś wyobrażenia. Potrzebowałem wiedzieć, co konkretnie to będzie? Czy to będzie na ścianie? Czy to będzie jakiś przedmiot? Co to będzie? Wersji było bardzo dużo: był pomysł z ekranami multimedialnymi, potem z jakimiś rzutnikami, potem prototypizowaliśmy, a w końcu była komoda. Więc ja miałem takie napięcie między tym, co chcemy powiedzieć, a formą przekazu. Nie wiedziałem, jaka może być ta forma. Potrzebowałem jakiegoś konkretnego i cały czas tak się ślizgałem. Muszę wyznać, że w pewnym momencie czułem się jak w "Misiu", że robimy takiego „misia na miarę naszych możliwości”. (śmiej)

Joanna Wawiórka-Kamieniecka: Niesamowicie się tego słucha. Bo, drodzy państwo, ja w tym względzie miałam niesamowity komfort. Ufałam wam stuprocentowo w kwestiach naukowych konceptualizacji i tak dalej. A to, że to się da wykonać, to po prostu wiedziałam, z własnego doświadczenia. Więc ja tu nie miałam frustracji. Może nie umiałam zapewnić was, że naprawdę się da (śmiej).

Witold Wachowski: W przypadku afordancji to wyszło dopiero, kiedy użyliśmy brzytwy Ockhama. I ten nasz pierwotny "ogród" czy "podwórze" zaczęło się kurczyć. Co było do przewidzenia, ale ostatecznie pozostał twój pomysł (Joanny Wawiórki-Kamienieckiej – przyp. red.).

Joanna Wawiórka-Kamieniecka: Słuchajcie jeszcze jedną mam refleksję. Mnie się bardzo to podoba, że w projekcie odeszliśmy od map, ekranów, tego, że coś się dotyka, coś wyskakuje. I tak jesteśmy przesyleni tym niebieskim światłem. Więc to, że wróciliśmy do tego "macania", że sprawiliśmy, że ludzie musieli kucnąć. To jest nasz sukces. Myśmy naszymi działaniami sprawili, że ludzie kucnęli, wygięli się, a nie robili to, co zawsze – dotykali ekranu, klikali.

Witold Wachowski: Mnie w pracy wkurzyło coś, co potem przerobiłem na zaletę, czyli dyskusja na jednym ze spotkań, kiedy nagle wszyscy skrytykowali działanie „Afordancje”. Wtedy nawet Joanna powiedziała, że śmietniki będą na pewno, po moim trupie, nikt tego nie usunie! (śmiech)

Marcin Trybulec: Ja nie wiem, czy to była krytyka... (ze śmiechem)

Witold Wachowski: Powtarzaliście swoje początkowe zarzuty, zwłaszcza że mamy takie tabu jedzeniowe tak, że to może być trudne. I w końcu to zrobiliśmy (śmietnik, z którego można było wziąć jedzenie – przyp. red.), i dlatego ja w swoim artykule potraktowałem to jako afordancje konceptualne, które mogły zadziałać negatywnie. Więc ostatecznie ja to przerobiłem na zaletę.

Aleksandra Kołtun: Drodzy państwo, na tym akcencie kończymy nasze spotkanie, choć, miejmy nadzieję, wciąż wiele przygód przed nami.